



AGNIESZKA KUMOR

W  
GÓRĘ  
WODOSPADU

*Islandia, rok 1904. Sigrid sprzeciwia się woli ojca... Miłość, wolność i morderstwo w krainie ognia i lodu*

*W*

GÓRĘ  
WODOSPADU



AGNIESZKA KUMOR

*M*  
GÓRĘ  
WODOSPADU

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-09-3

*Z nurtu rzeki, z nieba przemawiała nieodwołalność.*

Czesław Miłosz

*Prawdą jest tylko to, czego doświadczyliśmy.*

John Keats



*Mojemu Ojcu, Krzysztofowi,  
i pamięci mojej Mamy, Teresy*





## *ISLANDIA, WIOSNA 1880*

Zanim wstanie dzień, znów jest w drodze. Nierówny grunt utrudnia szybki marsz. Wysokie trawy chwytają za rękawy kaftana, jakby chciały ją zatrzymać. Nie zważa na nic, uparcie brnie dalej. Już widać skraj doliny, a za nim miękkie masyw gór. Wydaje się jednolitą masą, ale gdzieś tam wśród skał wije się wąska ścieżka, która prowadzi do wodospadu. Jeszcze parę metrów. Z łatwością ją odnajduje. Przy wejściu na szlak leży duży, spłaszczony głaz. Opiera się na nim, ale rezygnuje z odpoczynku. Czeka ją jeszcze półgodzinny marsz pod górę. Serce wali jak młotem. Przykłada dłoń do piersi, jakby chciała uciszyć płoszonego konia. Krew nadal pulsuje w skroniach, ale wzburzenie powoli mija. Rusza.

Otoczające ją trawy i zarośla o brzasku odzyskują kolory. Lada moment zza chmur wyjrzy słońce. Każdego dnia budzi się trochę wcześniej, jakby chciało powetować ludziom i zwierzętom długie miesiące zimowego rozstania. Ranki wciąż jednak bywają chłodne. Kobieta ciałniej otula się chustą i przyspiesza kroku. Kiedy czuje

na policzkach drobinki pary wodnej, wie, że cel podróży jest blisko. Wciąga mocniej powietrze nosem, jak pies wietrzący trop. Z panującej wokół ciszy wyławia głuchy, niewyraźny odgłos. Jakby ktoś pocierał bielizną o tarę. W tym miejscu ścieżka się rozwidla. Do wodospadu można dojść od frontu albo skręcić w lewo i wspiąć się nad urwisko. Wybiera drugą opcję. Widoku, który rozciąga się stamtąd, nie oddałaby za żadne skarby świata.

Z góry wodospad przypomina gigantyczne kamienne organy, które ktoś ustawił jak na scenie. Potężne masy wodne zebrane na samym szczycie spływają piętro niżej, gdzie napotykać kilkanaście mniejszych kaskad, łączą się z nimi i razem ruszają w dół. Tam nagle spowalniają, jakby dla nabrania sił, zagarniają resztę wód ze sobą po to tylko, by kilkadziesiąt metrów dalej z nagłą furią zmienić bieg i runąć w głęboką na kilka pięter szczelinę skalną, skąd wypływają ujarzmione w rzekę. Patrzy na ten obywatniający wybryk natury i wydaje jej się, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Poddaje się wizji jak czułemu, ale i stanowczemu kochankowi, z którym łączy się w jedno ciało. Nie przeszkadza jej potężny ryk wód dochodzący z dołu. W tym huku milkną jej upiory.

Nad brzegiem urwiska, gdzie siadła, wśród jagodzisk i mchów ziemia jest jeszcze wilgotna po zimie. Opiera się plecami o skałę. Ściąga chustkę z włosów. Rozsypują się gęstą ciemną masą, w której błyszczą pojedyncze białe nitki. Słońce stoi teraz wysoko na niebie. Gdzieś w gorze piekli się strzyżyk poirytowany jej obecnością. Ciepło wnika pod wełniany kaftan. Kobieta odpina ciśniejący pod szyją guzik...

„Słodkie nieróbstwo”, wzdycha matka. „*Doolce farnieeente*”, dorzuca nieznane jej słowa, przeciągając sylaby z zadowoleniem. Jeszcze przed śniadaniem w szlafrokach narzuconych na nocne koszule wyskoczyły do ogrodu zwabione nagłym przebudzeniem wiosny. Matka poleciła przynieść z komórki dwa zakurzone szezlongi obciążone białym płótnem żeglarskim. Przeciągają się teraz na nich jak kotki, a nieróbstwo pachnie kwiatem czereśni. „Lara leń!”, kwituje ich euforię ojciec, który wyszedł w tym momencie na werandę. Oparł ręce na sosnowej balustradzie i popatruje w głąb ogrodu z rozbawieniem. „Masz duże, silne ręce chłopca”, żartuje matka. Skąd wzięło się to powiedzenie ojca? Nie pamięta. Lubił się z nią droczyć, a jej dziecinne odpowiedzi przetrwały w rodzinnych anegdotach jak zasuszone owady w pudełku. „Lara n i e leń, n i e leń!”, zachnęła się ponoć, kładąc wyraźny akcent na „nie”. Od małego nie znosiła niesprawiedliwości. I tak już zostało. Ich tajemny kod do świata dzieciństwa Laury, kod, który znał tylko on. Tak jak wymyślone przez ojca zdrobnienie jej imienia. Odeszło wraz z nim.

Snuje wspomnienia, jak nieznośny sen, który nie chce się raz dobrze skończyć. Powracają w wariantach, zubożone o kolejny szczegół: brzmienie głosu, dotyk skóry. Zaciska powieki, aż do bólu. Na próżno. Nie pamięta już rysów ich twarzy. Jak mogła do tego dopuścić? Zbłąkły, nie wiedzieć kiedy, jak stare, nikomu niepotrzebne rachunki. „Dość tego rozgrzebywania przeszłości”, łąje się w duchu. Rodzina czeka w domu. Pewnie już się niepokoją. Ma czterdzieści lat, męża, cztery córki. To są jej

bliscy. Tu jest jej dom. Na tej wyspie, która przyjęła ją jak swoją, pozwoliła czerpać ze swego niedostatku. Dzięki niej na nowo zapragnęła żyć. To był właściwy początek. Skąd więc bierze się ów potworny smutek, który jak robak toczy jej duszę? Spada nagle niczym stado kruków. W dzień próbuje je oswoić, rzuca się w wir domowych obowiązków. Najgorsze są noce i długie godziny czuwania przed świtem. To dlatego wstaje, wymyka się z domu, żeby znów być w drodze. Wierzy, że kiedy idzie, te kruki jej nie rozszarpią. Ale smutek podąża za nią, czepia się nóg, lepi do twarzy i wciąga głębiej i głębiej w zimne odmęty. Skąd nie ma już odwrotu...

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## 1

*W DRODZE ZE SKÁLHOLT DO BRATTHOLT,  
KONIEC SIERPNIA 1904*

Bezdrzewne, jak okiem sięgnąć płaskie przestrzenie pokryte rachityczną trawą, porostem i mchem wciśniętym w najdrobniejsze szczeliny martwej zakrzepłej skały. Można by je porównać do gigantycznej sieci rozciągniętej na ziemi przez złośliwe trolle czyhające na samotnych wędrowców... Tylko kto by tam miał głowę do poetyckich porównań! Za szarozieloną derką traw pojedyncze garby gór strzegą widnokregu, którego właściwie nie ma, a nad tym wszystkim, w chłodnym bezkresie nieba, wyżej jeszcze od zdeorientowanych wolnością ptaków kłębi się czarny lej chmur brzemienny ulewą. Po trzech godzinach monotonnej jazdy wierzchem Kristín miała serdecznie dość. A była to zaledwie połowa drogi.

Kristín Pétursdóttir, najstarsza córka Pétura Pétursona, mieszkała z dwoma nieletnimi synami w Skálholt, dokąd po śmierci męża przeniosła się z wybrzeża. Einar był rybakiem i jak większość jego kolegów nie umiał pływać. „Morze daje, morze zabiera”, zbywał jej kobiece

niepokoje, jak się odpędza natrętną muchę. Tym razem morze wzięło. Ledwie kilometr od brzegu. Po Einarze, nowym kutrze, którego dorobił się tuż po ślubie, i całej dziewięcioosobowej załodze słuch zaginął. Nikt się nie uratował. Ze Skálholt, o którym nigdy wcześniej nie słyszała, nie łączyło jej nic, tylko tyle, że mieszkała tam daleka krewna męża, z którą nie utrzymywali kontaktów. Staruszka nie była widać pamiętliwa, gdyż zanim zmarła bezdziejnie, zapisała im w testamencie dom wraz z kilkoma zagonami ziemniaków i rzepy. Może nie miała innych spadkobierców? Wszystko jedno. Wstyd się przyznać, ale Kristín była wdzięczna starej kobiecie, że odeszła w dogodnym dla niej momencie. I zamieszkała w domu nieznannej krewnej, w obcej sobie wiosce, a wszystkie siły wczesnego wdowieństwa postanowiła skierować na edukację synów.

Pięćdziesiąt tysięcy koron! Ile lat studiów w Danii albo Anglii można by nimi opłacić? Nie miała pojęcia. Ojciec zapewne podzielił tę sumę między wszystkich członków rodziny, więc w rzeczywistości będzie tego mniej. Ale na początek starczy. Byle wyrwali się w świat. Kristín odgarnęła z czoła pasmo ciemnych włosów i stęknęła, wyprostowując plecy. Od kilku miesięcy cierpiała na ostre bóle w krzyżu. Damskie siodło i jazda z obiema nogami przesuwanymi z lewej strony tylko je wzmagało. Miała zaledwie i aż trzydzieści dziewięć lat. Upływ czasu doskwierał jej coraz bardziej. I z każdym rokiem coraz bardziej bolała samotność. Potrząsnęła machinalnie wodzami. Nieduży przysadzisty konik islandzki nie zareagował na jej ponaglenia. Nieczęsto pokonywała męczącą drogę ze Skálholt

do rodzinnego Brattholt, a mimo to zwierzęta zawsze jakimś sobie wiadomym zmysłem zdawały się wyczuwać właściwy kierunek. Miała dwa konie. Włochaty Faxi był silny i wytrzymały. W sam raz na tak długą drogę. Ale zbyt często go ostatnio używała, należało przewietrzyć jego towarzyszkę. Zdecydowała się więc na Brúnkę, łagodną kasztanowatą klacz, stąpającą wśród nierówności terenu niczym baletnica. Wzrok Kristín wydobyl z suchej masy mchów i porostów zielone plamy pastwisk. Na jednym z nich kilkanaście owiec skubało z namaszczeniem delikatną trawę. Wtem ponad białą wełnistą linię grzbietów wyskoczyła duża czarna głowa przewodnika stada. Baran zastrzygł uszami i wbił w nią czujne ślepie. Dopiero kiedy odjechała na dostatecznie dużą odległość, jakby sobie o czymś przypomniał, poruszył szczęką i wrócił do ulubionego zajęcia.

Kristín nie lubiła swojego kraju. „Nic, tylko woda i owce”, narzekała. Dwa razy więcej owiec niż ludzi. Rzuciła okiem na płaską równinę. „Do domu jeszcze kawał drogi”, jęknęła. Po co ojciec zwołał całe to zebranie rodzinne? Prócz Kristín obecna miała być jej młodsza siostra Sigrid, bliźniaczki Lilja i Rósa oraz przyrodnia siostra, Finna, która mieszkała wraz z nimi. Stary Pétur Pétursson nie zwykł pytać kobiet o radę. Nie żeby był jakimś domowym tyranem. Po prostu czytał gazety, znał się na interesach i wiedział, czego chce. Kiedy żyła jej matka, Kristín często widywała ich razem, jak omawiali różne sprawy, a bywało, że się spierali. Z drugą żoną rzadziej rozmawiał. Może była to kwestia większej różnicy wieku niż w przypadku matki Kristín, gdyż Pétur ożenił się powtórnie już



w starszym wieku. Ojciec najwyraźniej przywiązywał do tego zebrania dużą wagę. W takim razie również i Adam zjedzie z Danii. Adam Pétursson, syn z drugiego małżeństwa ojca i jej młodszy brat, był studentem drugiego roku medycyny na uniwersytecie w Kopenhadze. Dzieliło ich prawie dwadzieścia lat. I z tego, a także z paru innych powodów nigdy nie stali się sobie bliscy, ale w oczach Kristín Adam był jednak kimś więcej niż tylko przyrodnim bratem. Był ucieleśnieniem przyszłej kariery jej synów. Jednej z możliwych karier, gdyż (jak powtarzała dla ścisłości) „studia są zaledwie początkiem drogi”. Wiedziała, że zrobi wszystko, byle synów na tę drogę skierować. „Wszystko” znaczyło to, co nie było dane jej. Adam mógł się czuć zagubiony w domu zaanektowanym przez pięć kobiet. Uśmiechnęła się na wspomnienie miejskich manier brata. Ale Kristín nie zamierzała pozostać w Brattholt dłużej, niż było to konieczne.

Dla niej sprawa była prosta: po trzynastu latach użytkowania angielska spółka energetyczna Brittle, kierując się prawem pierwokupu, planowała nabyć od Péturssona eksploatowany przez siebie wodospad leżący na jego gruntach. Proponowali ponoć pięćdziesiąt tysięcy koron. Kto jej o tym powiedział? Nie pamiętała. Może i sam ojciec. Pięćdziesiąt tysięcy. Można by za to kupić pięćdziesiąt takich gospodarstw jak ich własne. Nad czym się tu zastanawiać? Niewyobrażalna góra pieniędzy za wodę i kamienie! I to tu, na miejscu, bez konieczności tułania się gdzieś za ocean, do owej Kanady, do której wszyscy ciągnęli za chlebem, ale tu, w ich rodzinnym Brattholt. Druga taka okazja już się nie powtórzy. Należało wziąć

te pieniądze i dobrze zainwestować. A nie ma lepszej inwestycji jak przyszłość dzieci. Więc dla Kristín sprawa była jasna.

Ujechała już spory kawał drogi i zaczynała podsypanać, kiedy uzmysłowiła sobie, że zaszła jakaś zmiana. Senność opadła z niej w jednej chwili, a zmysły się wyostrzyły. Już wiedziała. Kołyszący ją stęp konia stał się teraz nierówny; Brúnka wyraźnie kulała. Zwichnięcie, a może coś gorszego? Kristín poczuła spływającą jej po plecach strużkę potu. Musiała chwycić się siodła, żeby nie spaść, bo koń stanął nagle jak wryty z podkurczoną lewą przednią nogą, jakby dając jej do zrozumienia, że coś jest nie tak. Rozejrzała się niepewnie wokół siebie, próbując zbagatelizować to, co i tak niechybnie miało nastąpić. Jak wtedy, gdy będąc dzieckiem, sądziła, że wystarczy zamknąć oczy, żeby nie zostać nakrytą przez szukającą jej siostrę. Uderzyła klacz piętami po bokach i w tej samej chwili zrozumiała, że to bezcelowe. Im szybciej stawi czoła sytuacji, tym lepiej. Zsunęła się z wysiłkiem z siodła i poklepując konia, zmusiła go do uniesienia nogi. W kopycie brakowało podkowy. Klacz musiała nią zaczepić o kamień i zgubić podczas przeprawy przez bród. Wiedzione instynktem zwierzę poszło znajomym sobie przejściem. Ale płytka rzeczka zmieniła w tym miejscu bieg, a wraz z nią przesunęło się i nierówne dno brodu.

Kristín przytuliła twarz do włochatej grzywy. „Boże, jak trzeba chłopu, to go nie ma!”, pomyślała z wyrzutem i oczy napełniły jej się łzami. Nie żeby tak na co dzień, bo w domu skaranie tylko i człowiek się nie opędzi, ale

w takiej sytuacji jak ta no to przydałby się mężczyzna. Popatrzyła z rezygnacją na feralną kończynę, którą koń wciąż trzymał lekko podkurczoną, jakby o niej zapomniał. Myśli Kristín znów biegły logicznym torem. Wierzchem dłoni szybko otarła policzki i obesła konia, trzymając go za szyję. Pogrzebała w torbie przytroczonej z boku do siodła i wyjęła z niej duży pasterski nóż. Schyliła się ponownie, zmusiła Brúnkę do podniesienia tym razem prawej przedniej nogi i delikatnie podważając centymetr po centymetrze, oderwała drugą podkowę, jak uczył ją przed laty Einar. Całe szczęście, że to przednia, a nie tylna noga. Była nadzieja, że koń doprowadzi ją do domu, zanim do reszty okuleje.

Tak, w życiu Kristín zdarzały się momenty słabości, ale zwykle nie trwały długo. Ściągnęła konia za uzdę i ruszyła dalej piechotą.

— Rósa...!

Wołanie bliźniaczki wyrwało Róse z ponurych rozmyślań. Spadzisty dach stodoły pokryty darnią tłumił dochodzące z zewnątrz dźwięki, ale wydało jej się, że w głosie siostry przebija radość.

I to właśnie ją rozeźliło.

Nie odpowiedziała, zajęta układaniem siana, które gromadziły przed nadejściem jesieni. Zapas paszy decydował o przetrwaniu stada przez długie zimowe miesiące. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaniedbywał wiosennych i letnich sianokosów, ale potem trzeba było to wszystko gdzieś inteligentnie pomieścić. Każda pora roku miała swoje przeznaczenie w naturalnym porządku wzajemnych

zależności łączących ludzi i zwierzęta. A na koniec sierpnia, kiedy owce pasły się jeszcze wolno w górach i w gospodarstwie pozostawały tylko pojedyncze chore sztuki, przypadało gromadzenie siana na zimę. Kobieta ten odwieczny porządek znała i szczerze go nienawidziła. Obrzydło jej do reszty oporządzanie bydła. Nie mogła ścierpieć wpatrzonych w siebie wyczekujących par oczu, kiedy wrzucała im do żłobów paszę...

— Rósa, ogłuchłaś czy co?

Głowa Lilji z dwoma jasnymi warkoczami, które związała dla wygody na plecach, ukazała się w czarnym prostokącie drzwi. Była najwyraźniej zadowolona z siebie.

— Nie udawaj, że nie słyszysz.

— Siano zbieram — mruknęła Rósa, nie odwracając głowy. — Pomogłabyś mi. Żeś zginęła na całe godziny.

— Racicę tego młodego barana sprawdzałam. Wszystko zagojone. Będzie z niego tryk jak się patrzy — obwieściła z tryumfem Lilja, nie zwracając najmniejszej uwagi na złośliwości siostry.

Znała ją na wylot, wiedziała dobrze, że zły humor opuszczał ją równie nagle, jak nagle nawiedzał. Wystarczyło przeczekać. W końcu były z tej samej gliny ulepione.

Dwa tygodnie wcześniej zgubiły barana w dolinie. Odnalazł się sam po kilku dniach. Już z daleka widać było, że kuleje. Przyczyną tego mogła być zwichnięta noga, ale równie dobrze mogła to być i pryszczycza. Bardziej obawiały się tego drugiego. W razie zarażenia zwierzęcia nie było innego wyboru, jak poddać całe stado ubojowi. Na wszelki wypadek baran odłączony został od reszty zwierząt i doprowadzony do domu. Szczęśliwie

okazało się, że to zwykłe przecięcie racicy na grani skalnej, które szybko zaleczyły, dezynfekując ranę. I dobrze. „Szkoda byłoby takiego świetnego reproduktora”, cieszyła się Lilja.

Podeszła bliżej i oparła się ramieniem o ścianę stodoły. Był to długi na piętnaście metrów przysadzisty budynek kamienny, zwieńczony trójkątnym dwuspadowym dachem. W drewnianym szczycie tkwiły drzwi, teraz otwarte. Jedyne okienko umieszczone nad nimi wpuszczało skąpą ilość światła. Stodołę, jak większość budynków na farmie, stawiał ich dziad, Pétur, który znał się i na ciesielce, i na kamieniarstwie. Swej wiedzy nie skąpił sąsiadom. Wiele domów w okolicy zawdzięczało mu swoją długowieczność. Pétur senior nie znosił wilgoci, dlatego budowę zaczynał zazwyczaj od podmurówki z płaskich kamieni. Do budowy ścian używał bloków torfowych, które dla ścisłości układał w jodełkę. Ale prawdziwym wynalazkiem dziadka okazał się dach. A właściwie jego konstrukcja. Dach opierał się na potężnych krokwiach wyciosanych z drewna. Na nich ułożone zostały naprzemiennie drobne gałęzie, kora i darń. I dopiero ta misterna układanka gwarantowała dobrą wentylację. W takich warunkach siano Pétursonów nigdy niegniło. To wszystko opowiedział im ojciec. Lilja dziadka nie znała, zmarł, zanim przyszła na świat.

Spojrzała w niebo, osłaniając oczy ręką. Dzień zapowiadał się długi. Drobinki kurzu podrywane przez Róse kołowały ospale w promieniach słońca, które zaglądało do wnętrza stodoły.